

Zmartwychwstanie

   z trumny.

Powieść
z czasów powstania w r. 1863.

Napisał
Stefan Chorm.



Poznań.
Nakładem i drukiem Fr. Chocieszyńskiego.
1900.



165257

1949 a 1984

Słońce wschodziło leniwie i pomrocznie. Jakoby przewidując nieszczęścieienne, ociagało się z swym blaskiem, by nie być świadkiem klęsk i pastwienia się nad nieszczęśliwymi. Pocziwa ziemia wyziewała tumany srebrne mgły rannej, które w tej chwili były nieocenioną osłoną dla ukrywających się przed wrogiem dzieci tej ziemi, zroszonej od wieków krwią ich i uświęconej prochami i kośćmi poległych w jej obronie rycerzy. Lecz już się przedarł promień złoty przez mgły i cienie i oświecać począł wnętrze lasów. Lasy szlachetne, wy gmachem schronienia naszego! Dawaliście nam za pościel swą miękką murawę, byliście świadkami bitew zaciętych i zarazem cmentarzem poległych! Cześć wam i dzięki za wasze przysługi.

Ranek wśród lasu cichy; tu i owdzie zakracze wrona lub odezwie się kukułka. Już promień słoneczny zbudził w gniazdku panią srokę; jejmość zdziwiona i olśniona blaskiem dziwnym, który w jej ciekawe oko dziś tuż pod jej siedzibą wpada, ostrzy na błyskotkę dziobek. Lecz na próżno! Jest to bowiem kosa wiarusa na czatach, ozłocona promieniami wschodzącego słońca.

— Czy słyszysz trzask jakiś w krzakach? — rzekł wiarus do obok stojącego z nim strzelca.

— Słyszę, coś szeleści, lecz może to być sarna, bo szelest ten słaby...

— Gdzie tam! sarna jak leci, to ani słyszać. Dyabeł wie, co to.

— Tchórz z ciebie, zaraz myślisz, iż to rota Moskali. Trochę więcej robiliby hałasu.

— Słyszycie gwizd?

— Do dyabła, słyszę! — i mówiąc to strzelec szybko naciągnął u karabina kurek.

— Prosto idzie to na nas... Strzelcie na sygnał, alarmujcie obóz.

— Czyś ty oszalał alarmować obóz i tym strzałem go zdradzać? Tam tylko jeden człowiek iść może, nas zaś tu dwóch, więc mu damy radę, a w końcu może kto do nas z depeszą się przedziera.

— Albo też Moskale, skryci w sośninie, wysłali szpiega, by nas odszukał — szepnął lękliwie kosynier.

— To go schwycimy, zaprowadzimy do obozu i powiesimy na suchej gałęzi.

— Na Boga, znów gwizd — szepnął kosynier.

— Słyszę, ktoś nas szuka; trzeba odpowiedzieć — i włożywszy palec w usta gwizdnął. — Teraz baczność!

Znów się gwizd odezwał i łoskot krzaków prosto ku nim się zwrócił. Niedługo pokazała się twarz gajowego oblana potem i rosą.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł gajowy.

— Na wieki wieków! — skwapliwie odpowiedział kosynier.

— Witajcie ojcze! — dorzucił strzelec i spuściwszy kurek, podał mu rękę.

— Dalekoż obóz? — rzekł gajowy — bo muszę się spieszyć; tak już słońce na niebie, a ja jeszcze przed wschodem miałem was odszukać. Ale dyabełby tu was od razu znalazł.

— Czy tu są gdzie Moskale na karku, że tak spieszno? — zagadł kosynier.

— Jeszcze ich nie masz, ale podobno tu ciągną. Tak mówił ten pan, co przywiózł konno jakiś papier i kazał go piorunem zanieść do obozu.

Strzelec, idąc naprzód, prowadził gajowego i burczał na kosyniera:

— Gdybym był, jak ty chciałeś, strzelił, byłbym, widzisz, niepotrzebnego narobił bigosu i kpałby mnie zbudzony obóz i dowódzca.

— Już co nie, to nie! Nie gniewaliby się, gdybyś im nawarzył choć pełen kocioł bigosu — odparł śmiejąc się kosynier — bośmy już dwa dni nie mieli nic ciepłego w ustach.

— Toście pewno głodni? — zapytał gajowy.

— Flaki tak piszczą, iżbym dzisiaj był w stanie Moskala upiec i zjeść na śniadanie — rzekł kosynier.

— Sadła przy sobie nie mam, ale trochę wódki. Jeżeli nie wzgardzicie panowie...

— To dajcie, komotrze! — rzekł kosynier, pociągając łyk spory i podał strzelcowi manierkę. — A czemubyśmy mieli od brata wódkę gardzić?

— Proszę panów... — zaczął gajowy, gdy mu przerwał kosynier:

— Dałbyś komotr pokój z panianiem; ja nie panem, tylko parobkiem byłem u mego pana.

— A zkadżeście wy? — ciekawie zagadł gajowy.

— Z pod Tarnowa.

— Z tak daleka się bić tu przybyliście?

— A bo to nie jeden kraj? bośmy to nie bracia i nie jednej wiary? — rzekł kosynier. — Powinniśmy się bronić! Nie możemy pozwolić, by Moskal krzyże święte rąbał, modlić się zabraniał, plugawił kościoły, bezcześcił obrazy naszej królowej Częstochowskiej i profanował nasze najświętsze sakramenta.

To mówiąc skłonił głowę i uchylił na cześć trochę czapki; toż samo za nim zrobił i gajowy.

— Szczęść wam Boże, byście ich wygnali. A to weźcie odemnie na pamiątkę, komotrze — rzekł podając mu manierkę z wódką gajowy.

Już przyszli do obozu.

— Na Boga, co tu narodu! — mruczał sobie gajowy, ujrzawszy pokotem leżący obóz.

Pod krzakami rozlegiwała się wiara. Jedni gwarzyli cicho, drudzy otuliwszy się, zasypiali smacznie, inni widząc obcego człowieka zabiegali mu drogę.

— Kto to? — ciekawie się zapytując.

— Swój, swój! — odpowiadał strzelec i prowadził prosto ku sośnie, pod którą na stosie karabiny i kosa były zebrane.

Pod samą sosną owinięty w czarną burkę spał słusznego wzrostu mężczyzna z rewolwerem w ręku. Przy nim siedział i czyścił sobie pałasz młody człowiek, lecz z uzbrojenia i ubrania poznać można było, że jest starszym w oddziale i oficerskiej rangi. Widząc nadchodzących, wstał i kilka kroków ku nim postąpił.

— Proszę pana adjutanta — wyprostowawszy się rzekł strzelec — prowadzimy gajowego, co niesie depeszę i bardzo pilną, jak mówi, dla dowódcy.

— Chwała Bogu — odrzekł adjutant — że się dowiemy, co się dzieje w świecie, bośmy tu jak żaby utonęli w bagnach. No, dawajcie pismo, komotrze — i obrócił się do gajowego.

— Zaraz, proszę pana, bo to człowiek musi się strzedz, by na przypadek spotkania z Moskałami nie wpadło im pismo w rękę. A że Kozacy tak zaraz obmacać i zwąchać umieją, gdzie człowiek co skryje, więc ja zawsze na taki się sposób biorę — i pogłaskawszy psa kudłatego, który ciągle szedł mu przy nodze, zdjął obrożę z niego i z poza skóry jej wyciągnął zwitek papieru.

— Czekajcie na odpowiedź, ojcze — rzekł adjutant, a sam obróciwszy się, doszedł do śpiącego w burnusie mężczyzny i trącąc go po ramieniu lekko, szepnął! — depesza przyszła, pułkownik!

Zerwał się śpiący i przetarłszy oczy, schwycił skwapliwie za papier. Rozłamawszy pieczętkę, przebiegł szybko pismo oczyma, a potem z pochmurnem czołem, pokręcając węża i błędząc ponurem okiem wokoło, podał kartkę z depeszą adjutantowi i rzekł cicho:

— Dyable źle! przeczytaj!

Ten przebiegł oczyma i milcząc oddał mu ją napowrót.

— Co pułkownik rozkaże? — po niejakić chwili zapytał.

Lecz zapytany milczał i namysławiając się tarł sobie czoło.

Naraz się zerwał, stanął i gromko krzyknął:

— Do broni! niech się zbierze wiara, każ zakomenderować oficerom!

Jednym susem znikł adjutant wśród krzaków. Nawoływanie do broni! wstawaj! formuj się! szczęk broni, szmer, klątwy i śmiechy, wszystko to razem brzmiało po obozowemu i zakłócało ciszę leśną. Wystraszone ptactwo opuszczało gniazda swoje spiesźnie i z łoskotem, a niemiłym i przeraźliwym chórem krakały wciąż nad obozem wrony.

— Co te szelmy tak krążą nad nami? Nie uciekają, choć czują broń u nas — rzekł strzelec do gajowego.

— Zła wróżba! — odmruknął gajowy. — Ten ptak czuje naprzód trupy; będzie dzisiaj pewno bitwa. Już mi się ona od trzech dni śniła. Dziś we śnie właśnie uciekałem w bory, słysząc, że we wsi bitwa, a tu budzi mnie ten pan, który kazał nieść do obozu depeszę.

Wtem się obrócił ku nim dowódzca i zagadł:

— Toście wy, przyjacielu, przynieśli depeszę?

— Tak — kłaniając się odparł gajowy.

— Znacie wy dobrze te bory?

— Ja tu w nich urodzony i wychowany. Teraz lat dwadzieścia na św. Jan będzie, jak jestem w nich gajowym.

— To dobrze! — rzekł dowódzca — ja was sowicie za to wynagrodzę, jeżeli przeprowadzicie nas borem, ale tak, by nas nikt nie widział, do... — i wymówił pewną wieś sąsiednią.

— Czemu nie? — prosił pana dowódcy. Już

ja panów takimi manowcami poprowadzę, że żywej duszy nie spotkamy.

— Wszyscy gotowi do marszu, pułkowniku! — nadchodząc mówił adjutant.

— No, to chodźcie prowadzić nas, ojcze! — rzekł dowódzca i ruszył w stronę, z kąd szmer i szcęk broni ich dochodził.

Oddział był już sformowany. Świecący rząd kos przed krzakami napawał wszystkich rycerskim duchem. Pułkownik, ukazawszy się przed oddziałem, który podzielony był na dwie gromady: kosynierów i strzelców, rzekł:

— Wiara! baczność, marsz; lecz cicho, bez krzyku, by pochodu nie zdradzić! kosy spuścić na dół, po dwóch tuż za mną. Straż tylną ma kapitan. Prowadźcie, ojcze! Marsz więc w imię Boże!

— Wilczek naprzód! — krzyknął na psa gajowy, wskazując mu kierunek, w którym miał prowadzić.

Tuż za nim postępowali pułkownik z adjutantem, a dopiero nieco dalej ciągnął się sznur powstańców. Raz poraz szcęk broni, łoskot gałęzi lub szmer mowy przerywał grobowe milczenie; raz poraz spłoszona zwierzyna z pod nóg wyrywała się maszerującemu oddziałowi.

— Niepodobieństwem będzie nam dzisiaj wywinąć się z matni! Z wszystkich stron równocześnie na nas wyruszyli. Trzeba nam będzie pewno stoczyć walkę — półgłosem mówił pułkownik do adjutanta.

— Kto wie, pułkowniku? może nam się uda

zmylić ich rachuby i tak się po lasach kręcić do nocy; a w ciemności łatwo będzie pod ich nosem umknąć lub ukryć się między chłopami po kwaterach. Tu lud przychylny!

— Najpierw musim się posilić, bo dwa dni już się głodzimy. Potem spróbujemy się przedrzeć, jeżeli się uda; a nie... to przebić, póki nas jeszcze nie wytropią i nie otoczą żelaznym wiankiem do koła. Czytałeś w depeszy, co za siły na nas ciągną?

— Ba! sześć dział przecie wloką, najmniejsza ich siła idzie właśnie ku nam z tej strony, ku której postępujemy. Będzie nam łatwiej przez nich się przebić.

Naraz w oddali dał się słyszeć huk działa. Stanął zbladły gajowy i wybełkotał:

— Czyście słyszeli panowie?

— Biją się nasi w pobliżu, pułkowniku! Odpocząć trochę i ruszyć im w pomoc, na Boga!

Lecz pułkownik milczał. Cały pochód stanął i grobowa cisza zapanowała w obozie. Każdemu serce mocniej bić zaczęło i nie jeden szeptał w duchu pacierze. Tylko zuchy z obojętną lub wesołą miną oglądały broń swą, gotując się do bitwy. Wszyscy nateżali słuch swój w stronę, z której huk dał się słyszeć; tylko pułkownik w zupełnie przeciwnym obrócił się kierunku i podsłuchiwał. Jakoż niebawem z tej właśnie strony dał się w oddali słyszeć huk armat.

— Biją się nasi! — przebiegło jak piorun po oddziale.

— Nie biją się! — ponuro rzekł dowódzca —

to były strzały bez odbitki, samym więc tylko prochem, bez kul. Sygnały jedynie! zwołują się na nas. A więc my ich czekać nie będziemy, tylko marsz! — kiwnął i ruszył znów pochód.

Ledwie kilka uszli kroków, gdy nagle gajowy schwycił za rękę dowódcę i szepnął:

— Czy słyszysz pan trąbkę?

Pułkownik, stanąwszy, słuchał chwilę, potem rzekł:

— Moskwa tuż! nie ma wątpliwości, więc trzeba będzie walczyć na śmierć, przebić się, by ujsć im z matni i ratować co można. Bóg wam zapłać, ojcie, macie tu zapłatę — dodał, dając pieniądze gajowemu.

— Nie! proszę wielmożnego pana — zbladły mówił gajowy — kiedym nie był w stanie uprowadzić was przed Moskalami, to nie chcę pieniędzy.

— Bierz — zawołał adjutant — lepiej, że ty weźmiesz, niż żeby je mieli wziąć Moskale.

— A teraz wiara do mnie, w koło! — zawołał gromko dowódzca. — Moskwa chce nas otoczyć, lecz my musimy się przebić i tu właśnie niewiele Moskali. Możemy więc na nich śmiało uderzyć i przedrzeć się w inne lasy, Tylko się razem trzymać i śmiało iść na Moskali. Sformujcie się:

Piorunem znów wszystko stanęło w porządku.

— Wy zaś, przyjacielu — rzekł dowódzca, zwracając mowę do gajowego — nie macie u nas co robić, oddalcie się spieszno w tę stronę — i wskazał mu ręką — bo tu lada chwilę bój się zacznie.

Szczęk broni, nabijanie, komenda, bliskość nie-

przyjaciela wywiera wpływ na żołnierza. Tem bardziej wpłynęło to wszystko na niewojennego ducha gajowego. Ruszył więc spieszo, potem zaczął pędzić i krzaki sarniami susami przesadzać, aż ruch wierzchołków krzewin wskazał, iż nieborak het gdzieś się już znajduje.

— Strzelcy! w łańcuch się rozwinać! — zagrzmiała komenda. — Cicho i bez łoskotu marsz do krańcu lasu!

Łoskot krzaków, rozsuwających się pod stopami strzelców, niemiłe robił wrażenie. Za nimi postępowała ponuro kolumna kosynierów w rozwiniętym szyku.

— Pamiętaj w przypadku ciężkiej rany dobić mnie na miejscu, by się potem nademną nie pastwili. Tak, czy owak! zawsze mnie choć rannego kulka czeka jako deztertera.

Ledwie wymówił te słowa pułkownik, padł strzał i rozgłosnie się odbił po lesie.

W tej chwili dały się słyszeć i inne salwy i rozpoczęło się strzelanie.

— Strzelcy naprzód! hurra dzieci! — zawołał dowódzca, a wiara rzuciła się na linią bojową.

Wtem zatrzęsło się silnie powietrze i huk zagrzmiął potężny. Rotowy ogień rozpoczęli Moskale.

— Śmiało za mną! hurra! — silny okrzyk pułkownika przez cały oddział wtórowany, zatętniał rażno po sercach wiary.

Skoro Moskale ujrzeni naszych odważnie ku nim pędzących, zaczęli spieszenie cofać się w drugą część boru.

— My teraz w prawo! strzelcy odstrzeliwać się! dojdziemy zaraz pola i przez nie dostaniemy się do wielkich lasów! — zawołał pułkownik.

Tu i owdzie jednak jęczeli już ranni. Moskale wciąż jeszcze się cofali i kule ich mało dolatywały.

Już dobiegli nasi krańca lasu i wpadli na rozciągniętą konnicę moskiewską.

— Ognia i hurra na nich!

Wtem huk karabinów zagłuszył komendę pułkownika. Tuman i tentent koni rozległ się wokoło. Nie był to atak, ale rejterada konnicy moskiewskiej, a kilka koni biegnących bez jeźdźców dowodziło, iż strzelcy brali na cel dobrze.

— Śmiało przez gołe pole!

Ledwie wyrzekł to pułkownik, gdy schwycił się za piersi i upadł na ziemię. Adjutant przyskoczył.

— Marsz naprzód, tylko oddział ratować, zostawcie mnie, czuję się śmiertelnie ugodzonym! — wymówił cicho dowódzca.

Świst kul gęsty z boru i bliskość ścigającego nieprzyjaciela nie dały unieść dowódcy.

Odstrzeliwając się tylko raz po raz, oddział szybko cofał się przez pole. Z boku kozactwo, krzycząc „hurra!“ zwolna za nim postępowało. Ledwie się trochę bitwa uspokoiła, wpada oprawców rozbestwionych zgraja i szuka rannych i w mgnieniu oka ich obdziera. Kilku kozaków, ujrawszy z daleka pułkownika, przypada z krzykiem do niego, kłuje go z konia pikami i obrzuca klątwami bez miary.

— Już zdechł sobaka! — krzyczy jeden kozak, zsiada z konia i obdziera pułkownika do naga.

Pułkownik nasz żył jeszcze, lecz dech zatrzymał, podczas gdy go kozak z rzeczy ogołacał. Tenże niezadługo, rzuciwszy jakąś klątwę na lacha buntowszczyka, kopnął go w głowę, wskoczył na konia i popędził dalej wraz z szatańską czeredą, szukać nowych łupów. Grzmot bitwy coraz bardziej się oddalał. Już z wioski sąsiedniej ukazały się wozy i ludzie po rannych, lecz rozjuszony kozactwo wzbrania im przystępu do pobojuwiska. Kilka Polek dojeżdża pomimo gróźb i klątw kozaków do pułkownika, co dowodził wojskiem, prosząc go o pozwolenie zbierania rannych. Z początku ociągał się pułkownik, lecz namysliwszy się pozwolił... pewno z tej przyczyny, iż nie było już kogo dobijać.

Chcąc pokazać swój wysoki stopień cywilizacji, powiedział odjeżdżającym damom jakieś dusery po-francuzku, które mu się przypomniały z czasów, gdy, w gwardyi służąc w Petersburgu, miał roman-sik z aktorką francuzkiego teatru. Poczciwe panie zaczęły zbierać nieszczęśliwe ofiary, rozrzucone po lesie, kierując się ich jękami. W dali huk strzałów grzmiał jeszcze jakoby fala. Wśród boru odbijały się płacze i jęki kobiet nad rannymi, albo właściwiej rozsiekanymi, bo każdy z nich niezliczoną moc kul, pchnięć i cięć miał na sobie. Lud wiejski pomagał w zwożeniu, wieśniaczki płakały głośno, a chłopci ponuro i osłupiałem okiem spoglądali na pomordowane ofiary.

Kierujący wkładaniem rannych na wozy obywatel zaśtanawiał się nad uderzającej inteligencji twarzą jednego rannego, lecz trudno było rozpoznać jego lica zbroczone krwią, pocięte i skłute.

— Ktoś pan jest? — zapytał się rannego, lecz ten w omdleniu (a był to znany nam pułkownik) nie mógł mu odpowiedzieć.

Wolno ten okropny konwój postępował ku wiosce, towarzyszyły mu kobiety od boleści już onie miały. Raz po raz jęk rannego przerywał ciszę. — Słońce pokryło się czarnymi chmurami, nie chcąc spoglądać na to widowisko. Żaden się listek nie ruszał na drzewie, jakoby lasy onie miały ze zgrozy.

Słońce już zaszło, nie pokazawszy się w tym dniu więcej z poza chmury, wieczór był latowy, parny — powietrze strasznie duszne.

Dworek w wiosce stał się improwizowanym lazaretem: wszystkie pokoje zapełnione rannymi... meble powystawiane do ogrodu. Ranni poukładani na słomie, przy nich kręci się doktor, dwóch cyrulików i całe grono niewiast. Biała postać plebana w komeszcze, z krzyżem w ręku dysponującego na śmierć konających, uroczco-tragicznie świeciła w ogólnym zamęcie. Kto żył chciał się czemśkolwiek nieszczęśliwym przysłużyć.

Cudem prawie zjawiały się łóżka, pościel, bielezna, szarpie itd. Doktor rozpoczął kolejno rannych opatrywać; właśnie się zbliżył z gospodarzem domu do jednego z nich, gdy ten, zebrawszy wszystkie swe siły, rzekł:

— Niech panowie opatrzą przedemną dowódcę — i wskazał na swego sąsiada.

— Dowódcę? — zagadli zmieszany gospodarz i doktor i zaraz uklekli nad wskazanym rannym.

Gospodarz poznał w nim ową twarz, która go w lesie inteligencyą swą uderzyła.

— Czyś pan jest...? — i wymówił pseudonim pewnego dowódcy, znanego ze swéj odwagi i zdątności.

— Tak! — szepnął pułkownik.

— Na Boga! musi to zostać między nami tajemnicą, by się Moskale nie dowiedzieli — rzekł gospodarz i zostawiwszy doktora wybiegł.

Niezadługo przeniesiono pułkownika do osobnego pokoju i oddano go pod szczególną opiekę żony i córki gospodarza domu.

— Nie robić żadnej różnicy z nim, by przez to ludziom nie wpadł w oko — mówił, doktor do pań, kręcących się około rannego.

Wkrótce zaturkotał wóz na dziedzińcu, z dworu wyszedł jeden z obywateli, a gospodarz, wsadzając go na bryczkę, szepnął mu do ucha:

— Musisz więc dogonić oddział, rozmówić się, by ktoś inny przez dni kilka dowodził pod jego nazwiskiem, ażeby pozostało tajemnicą, że tu leży ranny, póki go za granicę nie przewieziemy. Ruszaj w imię Boże, chłopcze, a nie żałuj koni.

Ruszyły konie i wózek zginął w ciemnościach nocy...

Choć na niebie rumieniły się jużienne brzaśki, nikt we dworku nie myślał o spaniu. Czuwano lub opatrywano rannych. Tętent się nagle dał słyszeć na drodze. Ledwie gospodarz zdążył wyjść przed ganek, gdy już wpadło kozactwo i w mgnieniu oka obstało dom i podwórze. Przyzwyczajony do

podobnych hecy gospodarz strwożył się jednak dzisiaj, myśląc o rannym dowódcy, który spoczywał pod jego strzechą. Niebawem pokazała się czereda oficerów i zsiadła przed dworem. Jeszcze nie powitał pułkownika gospodarz i nie zapytał się o przyczynę niespodziewanych odwiedzin, raczej napaści, a już komendant żandarmów powiatowych opryskliwie zagadnął.

— Gdzie ranni?

— Tu leżą we dworze.

— To pan im swój dom odstąpiłeś?

— Gdzie miałem ich umieścić, czy w chlewie?

— Ilu rannych jest wszystkich?

— Pięćdziesięciu i kilku; dziesięciu już w nocy umarło.

— A gdzie leży pan dowódzca? prowadź pan nas do niego — szydersko uśmiechnąwszy się, dodał — chcemy mu oddać wizytę...

Jakby grom uderzył w gospodarza i stojących w drzwiach sąsiadów i panie.

— Nie wiem żeby miał być między nimi dowódzca? — odpowiedział z pozornym spokojem gospodarz.

— Łżesz! pewnoście go już przechowali. My go znajdziemy... być musi, pojmać go! — i wskazał na gospodarza kozaków.

— Olechu Mikołajewiczu, chodź z nami! — i kiwnął na stojącego opodal kozunia — odszukaj tego buntowszczyka, u którego znalazłeś papiery, bo ten jest dowódcą — krzyczał komendant żandarmów.

— Panie pułkowniku, za co maż mój areszto-

wany? — zbladła, lecz groźnie zastępując mu drogę, rzekła gospodyni.

— Moja pani, zaraz będzie puszczoney, jeżeli wyda gdzie leży dowódzca.

— Pułkowniku — śmiało przerwał mu gospodarz — jako człowiek honoru, powinienes pan czuć, iż gospodarz hańbiącej roli Judasza przyjmować na siebie nie może.

— Jeżeli go znajdziemy, to puścimy pana — odparł pułkownik i wszedł do dworu.

Na czele szedł żandarm, za nim ów kozak. Brzęk pałaszy moskiewskich obudził wszystkich prawie rannych. Kilku w gorączce, ujrawszy złowieszcze twarze i mundury, zaczęło krzyczeć i zrywać się z łózek, myśląc, iż Moskale wracają ponawiać swe mordy. Przed każdym stawał kozak i wpatrywał się, choć rzeczywiście lica ich były tak pocięte, zmienione, iż rodzona matka nie poznałaby tam od razu swego syna.

Z pomieszkanemi twarzami postępowały panie za wietrzącą zdobycz czeredą. Właśnie doszli do pokoju, gdzie leżał pułkownik.

— Podajcie mi pistolet, w łeb sobie wypalę! — błagalnym głosem zawołał pułkownik do otaczających go, skoro usłyszał obstawiających dom Moskali.

Lecz nikt, ma się rozumieć, nie miał tyle odwagi, by mu oddać tę przysługę. Teraz z przeszującym wzrokiem, jak lew konający, przywitał wchodzących Moskali, a kozak, skoro go ujrzał „wot ten“, wskazując na pułkownika, powiedział.

— To wy! — krzyknął komendant żandarmów

— zdezertowaliście z pułku, złamaliście przysięgę, złożoną cesarzowi, dowodziliście bandzie buntowników.

Pułkownik zerwał się na łóżku i przestraszającym głosem zawołał:

— Kiedy wiesz, com zrobił, to rób co twoja powinność każe. Wiem, co mnie czeka! rozstrzelacie mnie, lecz ja się cieszę, że umrę za ojczyznę... Raz tylko jesteście w stanie mnie zabić... Nie lękam się śmierci!... Teraz zaś nie pastw się i nie krzycz nademną, duraku, bo przez to hańbisz tylko własną armię...

Chciał jeszcze coś mówić, lecz padł omdlały na poduszki.

Komendant się zmieszał. Kilku młodszych oficerów zaczęło coś szeptać do pułkownika moskiewskiego. Po chwili tenże wydał rozkaz stawienia warty pod oknem, a obróciwszy się do wojskowego doktora, rzekł:

— Niech doktor opatrzy rany, byśmy mogli go przewieźć do garnizonu, zrobić sąd i rozstrzelać.

— Zdaje mi się, panowie, że go żywego nie dowieziecie, bo on lada chwilę wyzionie ducha... szczególnie po takim wzruszeniu! — przemówił lekarz, co opatrywał wszystkich rannych.

— Jak umrze, to go nie powieziem, ma się rozumieć — rzekł pułkownik — tymczasem zrewiduj go — i kiwnął na wojskowego lekarza.

Na łożu świeciło posagowej bladości oblicze ранnego dowódcy, który omdlawszy z uniesienia, zachował dziwnie szlachetny i groźny wyraz twarzy. Kilku młodszych oficerów z pewnym niepokojem spo-

glądało na te lica. Nawet na pułkowniku moskiewskim zrobiły one wrażenie. Spuścił oczy i z uszanowaniem po cichu na palcach wyszedł z pokoju. Inni oficerowie wychodząc za nim, z pewnem wewnętrznem nabożeństwem rzucali jeszcze wzrok na omdlałego dowódcę, prócz komendanta, który coś mruczał pod nosem i sapał ze złości.

Wyszli przed dom, gdzie komendant wpadł na gospodarza.

— Toś pan nie wiedział, że miałeś takiego ptaszka w domu.

— Nie — odpowiedział tenże.

— No! to się pan ciesz, żeś miał w gościnie — dodał szyderczo pułkownik — tak wielkiego człowieka...

— Jesteś pan wolny — już łagodniej przemówił komendant — ale dajcie nam śniadanie, bo dyabło jesteśmy głodni.

— Przepraszam panów — rzekła nadchodząca gospodyni — lecz chyba na dworze nakryć każę, bo wszystkie pokoje zajęte prócz sieni.

— To nic nie szkodzi! po wojennemu dzisiaj można nakryć i w sieni — odparł pułkownik.

— Ale czy to panom nie będzie przeszkadzało, że obok zaraz ranni? — z przyciskiem zapytała gospodyni.

— Bynajmniej, nawet zaostrzy apetyt.

Nie odpowiadając na ten moskiewski dowcip, odeszła gospodyni. Po chwili stół został nakryty w sieni, do której z dwóch przyległych pokoi dochodziły jęki rannych. Wesoło do stołu zasiedli wczoraj

rajsi bohaterowie mordów i dowcipkując, (jeżeli dowcipem można nazwać płaskie i tłuste uwagi) zajądali i zapijali, raz poraz śmiechem zagłuszając dolatujące jęki.

Gwałtem posadzili obok siebie kilku bawiących tam z sąsiedztwa obywateli i chcieli prowadzić wesołą gawędkę... Przechodzącą gospodynią zaczął w te słowa pułkownik:

— Bardzo nam przykro, iż piękne panie nie raczą z nami śniadać — lecz ta z oburzenia udając, że nie słyszy, nic nie odpowiedziałwszy, odeszła.

Właśnie usiadł do stołu obywatel jeden, przybyły od rannych i szepnął drugiemu, iż co tylko doktorowie jednemu z ciężko rannych wydobyli kulę i że żyć jeszcze może. Słyszając to komendant „to trzeba mu poprawić“ zawołał.

Jako hyeny, co wyjąc biesiadują na trupach, tak tutejsza czereda hulała tuż obok jęku i konania ofiar swych mordów. Trzeba nie zapominać, iż to nie wymysł czczy, ale prawdziwe zdarzenie! Kani-balowa uczta odbywała się w 19 stuleciu w Europie... w 1863 roku! Ileż podobnych jej się odbyło!...

Nakoniec wchodzi lekarz wojskowy. Zobaczywszy go, zawołał pułkownik:

— Jakżeż z rannym?

— Zdaje mnie się, iż najdłużej z sześć godzin pożyje...

— To będziemy jeszcze dzisiaj na jego pogrzebie! jakoś nie miał ochoty odwiedzić nas w mieście!

— śmiejąc się sam ze swego niby... dowcipu, bełko-

tał komendant. — Wypijemy na jego zdrowie — to mówiąc, wychylił spory kieliszek.

Zwolna zaczęli się wszyscy obywatele do sieni schodzić i utrzymywała się rozmowa dziwnie sztuczna między obywatelstwem a Moskalami. Zaiste! łatwiej prawie napisać sławny monolog Hamleta, niż utrzymać podobną konwersacyą!

— Co to ten Hipolit dziś tak chce ich spoić? — szepnął jeden obywatel do drugiego, patrząc na gospodarza, który naraz zrobił się dziwnie rozmownym i zachęcającym do picia.

Po chwili pokazały się opleśniałe butelki starego węgryna, które bez wielkiego proszenia wypróżniała moskiewska starszyzna. Zamąciło się już w moskiewskich mózgownicach, zaczęły się sypać tak bezecne mowy, iż kto mógł, od nich się wynosił. Hulali i nikt im nie śmiał przeszkadzać.

Z podziwieniem tylko patrzeli sąsiedzi, iż gospodarz był dla nich kusząco gościnnym, zachęcając do dalszej pijatyki. Słońce już wysoko było na niebie i przechodzić zaczęło ku południowi, kiedy się zjawił znowu lekarz wojskowy. Kto nie był pijanym, poznał, iż z tajemnem pomieszanem wyrzekł:

— Właśnie ranny kona!...

Cicho się zrobiło w kole biesiadujących. Wszyscy jakoś zachmurzyli się. Zapiłym, szyderskim głosem przerwał ciszę komendant, bełkocąc:

— Już czas, żeby się wyniósł buntowuszczyk, bo ja już dłużej nie myślę czekać, aż zdechnie. Poczekaj doktorze! zaraz pójde z tobą zobaczyć go jeszcze — i taczając się, włókł się za doktorem.

Za nim ruszyła cała czereda pijanych oficerów. Doszli do pokoju konającego: na łożu ksiądz pleban siedział i trzymał wraz z konającym gromnicę, w około klęczały kobiety i odmawiały litanie za konających. Komendant, który lubił się pastwić, przeraził się jednakowoż widokiem konania. Ponury i wzniosły obraz, który bił w oczy, nie przypadł mu do smaku. Klnąc więc coś pod nosem, zaraz się wynosił. Dowódzca widać było robił ostatnie wysilenia piersiami... i zamknął już oczy.

Za komendantem zwolna wynieśli się inni oficerowie, powarzeni trochę całym widokiem. W sieni znowu rozpoczęła się pijatyka na zabój!... W tem płacz i lamentowanie dobiegły do ich ucha. Wszedł lekarz wojskowy dziwnie blady i „umarł“ powiedział.

— Tem lepiej dla nas! — wyrzekł pułkownik.

— Będziemy mieli kilka kul więcej! — zabełkotał komendant.

— Proszę panów trochę na bok ustąpić — wchodząc od dworu, rzekł gospodarz... a za nim kilku ludzi niosło trumnę do pokoju, gdzie skonał dowódzca.

W krótkim czasie było słyhać pukanie młotka przy zabijaniu trumny...

Zwolna przed dworem zbierali się ludzie, przybył w pogrzebowym ornacie ksiądz pleban... zajechał wóz kirem pokryty. — Kilku oficerów poszło, gdzie stało ciało zmarłego, a reszta, nie mogąc już pić więcej, taczała się, siedziała lub spała przy stole. Obywatele wzięli na barki trumnę i włożyli na karawan. Ksiądz pleban, zalewając się łzami, zanucił

pieśń konduktową. Zwolna ruszał pogrzeb ku cmentarzowi... Wszyscy wybladli i niemi postępowali za trumną, bo na łązy mało kto się mógł zebrać. Zaszło ich źródło dzisiejszej nocy, lub wczorajszego wieczora...

Tylko scena w katakombach, gdy pierwsi chrześcianie chowali nowego męczennika, mogła temu tragicznie pięknemu pochodowi wyrównać. Są chwile tak uroczne, iż choć nieme, więcej robią wrażenia, niż najwymowniejsze krasomówcze żale. Są one w stanie wzruszyć najdziksze nawet serca. To też spotykająca pogrzeb tłuszcza carska... pomieszana i z uszanowaniem go przepuszczała. Wszystko tak było w tej chwili nieme, tak nie do opisania rozboleła, iż tylko określić możnaby ów stan niezrównany zwrotką pieśni narodowej: „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej, do Ciebie Panie bije nasz głos!...

Już przybyli na cmentarz, gdzie ogromny grób wspólny był wykopany, a w nim świecił rząd poustawianych na sobie trumien. Spuścili trumnę do grobu, nie zasypując jej, bo czekali jeszcze na kilku innych kandydatów śmierci, którzy lada chwilę mieli umrzeć.

— Requiescat in pace!... — wyjąknął pleban i sam na widok tylu ofiar głośno zapłakał, a za nim rozpaczliwie prawie jęczeć zaczął cały orszak pogrzebowy.

Kilku mężczyzn tylko, zamiast jak inni w niebo, po ziemi błądziło osłupiałym wzrokiem. Wzrok to był okropny; malowało się w nim zwątpienie bez granic w sprawiedliwość Bożką. Jedna tylko osoba

w tem gronie ani się modliła, ani rozpaczała, lecz z zadowoleniem pewnem spoglądała na trumnę. Był to gospodarz...

Ustały pacierze, kilka grudek ziemi padło na trumnę i zwolna wyludniał się cmentarz.

We dworze carska drużyna podchmielona, nie mogąc jechać konno powsiadała na podwody. Komendant pijany ani się nie pożegnał, pułkownik ledwie jakieś „bon mot“ znów zdołał do dam wybelkotać. Jeden tylko z nimi odjeżdżał nie pijany; jemu też tylko, żegnając, silnie ścisnął rękę gospodarz. Był to lekarz wojskowy, który dziwnie pomieszany i blady był na twarzy. Widać iż te okropne sceny oburzały jego duszę.

Niedługo potem w nocy zjawiło się konno przed dworem kilkunastu ludzi. Wybiegł wylekły gospodarz myśląc, iż to kozactwo, lecz:

— To nasi! — z uradowaniem stojący w progu rzekł stróż nocny.

Już w sieni stanął młody człowiek z krakuską na głowie i zapytał:

— Gdzie ranni?

— Tutaj! — i wskazał gospodarz gdzie leżą.

— Muszę ich odwiedzić, to moi znajomi — i wszedł do pokoju.

Zaraz przy drzwiach przywitał go jeden:

— A witam paniczka!

— Witam pana adjutanta — wołał drugi.

— Jak wyzdrowieję, pójdę znów z paniczkiem bić Moskali.

Rozmawiając trochę z nimi pożegnał się i prosił.

by go na grób pułkownika zaprowadzono. Sam gospodarz ruszył na cmentarz i wskazując na wielką mogiłę, ośrebrzoną blaskiem miesięcznym:

— Tu leży między swą wiarą! — smutno powiedział.

Ukląkł adjutant, pomodlił się trochę i szepnął:

— To wszystkich nas czeka.

Pożegnał gospodarza, dopadł konia i zniknął jakby duch w nocy.

Szumny biuletyn w „Dzienniku Powszechnym“ donosił o odniesionem zwycięstwie, rozproszeniu bandy i zabiciu dowódcy, ma się rozumieć, to wszystko w zwyczajnym stylu, to jest ze stratą jednego tylko kozaka ze strony carskich wojowników. Dzienniki zaś polskie doniosły z czarną obwódką o śmierci jednego z zasłużonych dowódców i tu i ówdzie odprawiono żałobne za duszę jego nabożeństwa.

W parę tygodni przybiegł raz znajomy nam gajowy do plebana i zakupił mszę za duszę dowódcy, którego ducha spotkał był pod wieczór w lesie; mówił, że przeżegnawszy się, zaraz do domu uciekł.

Później na polu bitwy krzyż postawiono jako i na mogile poległych... Ileż takich mogił świeci na naszej ziemi? Ileż nowych podań i wspomnień zostanie w narodowych dziejach?

Niechaj wam będzie lekka ziemia, męczennicy w mogiłach! Wyście tam szczęśliwsi, jak my pozostali tu na tym żywych cmentarzu!... Cześć Wam poległe ofiary!...

*

*

*

Przenieśmy się z zachodzącem właśnie słońcem

na zachód, na obcą ziemię... nad brzegi Elby. Było to w wieczór, w Dreźnie, na „Brylowskiej terasie“, w 1864 roku.

Młody człowiek kulejąc trochę na jedną nogę, przechadzał się wolno. Jest to nasz znajomy... pan adjutant.

Naraz przechodził koło niego jakiś mężczyzna. Adjutant spojrzawszy z osłupieniem na niego, zawołał:

— Umarli z grobu wstają!... czy duch jego, czy pułkownik? — i zatrzymał przepraszając przechodnia.

— A to ty! — i chciał go uściskać zaczepiony, lecz adjutant z pewnym strachem spoglądał jeszcze na niego, nie dowierzając swoim oczom.

— Czyś z grobu zmartwychwstał? czy pokutujesz na ziemi, bo wiem że raz umarłeś?

— Tak, umarłem dla świata — rzekł cicho pułkownik — ale znów żyję... Chodź ze mną, to ci opowiem.

— Dokąd iść z tobą?

— Jak widzę, bierzesz mnie ciągle za ducha. Przecież zaprowadzę cię nie do grobu, tylko do hotelu. Tam wypijemy sobie za zdrowie nasze, zapalimy lulki i pogawędzimy. Nie bierz mnie za upiora u kata!...

— Formalnie zgłupieję, rozmawiałem z ludźmi, co obok ciebie, gdyś konał, leżeli, co ciebie w trumnie widzieli, co za twoją trumną postępowali, co cię do grobu spuszczały, co ci grób potem sypali, modliłem się sam na twej mogile, czytałem o twej śmierci w dziennikach... na raz po roku zmartwychwstajesz z trumny, z mogiły. Nie, to być nie może!

— Wszystko prawda, konałem, leżałem w trumnie, schowali mnie do mogiły, wiem, że się nad nią modliłeś, dziękuję ci, lecz mimo tego ja żyję i zaraz rozwiążę ci tę zagadkę. Lecz pod słowem zostanie największą tajemnicą, że żyję. Chodźmy!

Szybko ruszyli i wkrótce stanęli w mieszkaniu pułkownika, zapalili obydwa cygara, a pułkownik zaczął opowiadać:

— Wiesz, jak mnie nie mogliście unieść z pola bitwy! ci łotrzy kozacy najpierw mnie dobijając obdarli i zostawili; potem wiesz, iż mnie znaleźli między rannymi. Moskale chcieli mnie zabrać ze sobą do miasta, wyleczyć trochę, osądzić i jako dezertera rozstrzelać. Próżno prosiłem się o pistolet, bym mógł się sam dobić na miejscu.

„— Panie! ja jeszcze może wyratuję pana — rzekł szlachetny gospodarz.

„Ale ja nie widziałem sposobu, bym uszedł śmierci. Później w tym pokoju, gdzie leżał, zaczęły się jakieś szepty doktora z gospodarzem. Doktor wojskowy z początku się wzdrygał. Potem wzięła się do rozmowy pani domu wraz z córką, w końcu widziałem, iż obie się do nóg rzuciły wojskowemu lekarzowi i o coś prosiły. Widziałem ogromną walkę w jego duszy, spoglądał na mnie, schylił się i podniósł błagające u nóg jego panie, a potem wymówił słów kilka, Rozpromieniły się oblicza szlachetnych niewiast. Ja nic nie pojmowałem, co to wszystko znaczy, aż tu podskoczył do mnie gospodarz i szepnął:

„— Wybawion będziesz z ich rąk, umrzesz, tu

cię pochowamy i... — nie skończył, bo ktoś ze służby do pokoju wchodził.

„Myślałem, iż namówili doktora, by mnie otruli i bym tak zakończył żywot, nie dając mi po raz drugi na pastwę Moskalom. W tej chwili zjawia się ksiądz pleban i od wszystkich spiskowych odbiera przysięgę, potem i odemnie chce odbierać, że śmierci swej tak długo nie odwołam, póki mnie do tego sam doktor lub gospodarz nie upoważni.

„— Jakżeż ja mogę po mej śmierci odwoływać co na ziemi?... — i pomimo woli musiałem się uśmiechnąć.

„Dopiero zaczął mi objaśniać pleban.

„— Pan umrzesz pozornie, będziesz konał, doktor zaraportuje, żeś skonał, włożymy cię w trumnę, zabijemy ją tak, że będziesz mógł oddychać, zawieziemy na cmentarz, spuścimy do grobu, tam bez zasypiania do wieczora zostawimy, w nocy będziesz z trumny wydobyty i uwieziony do sąsiada, a potem za granicę, lecz tu się nigdy nie pokażesz i znikniesz na zawsze.

„Dopiero zrozumiałem plan cały i wyciągnąłem rękę do szlachetnego doktora. Nie był to Moskal, carski sługa podły, lecz Rosyanin, człowiek z uczuciem szlachetności, a ten krok ryzykowny dowodził, że miał wielki hart duszy.

„Jakoż później zaczęła się komedia śmierci, którą mi przy tylu ranach i po takim osłabieniu, łatwo było odgrywać.

„Ponieważ do tajemnicy mało kto był przypusz-

czony, było więc wiele łez i płaczu pomiędzy otaczającymi, co urzeczywistniało me konanie.

„Przyszły umówione ostatnie chwile, pokazali się spojeni Moskale, lecz ledwie się do pokoju wsunawszy, wynieśli się powarzeni. Zaraz zrobiłem oddech umówiony, postawiłem oczy w słup, a doktor schwycił mnie za puls i powiedział: „skonął,” zakrywając kołdrą twarz moją. Słyszałem płacz i żal pocziwych kobiet, później wniesiono trumnę, a trupa mego niby doktor wojskowy pilnował. Potem sam z gospodarzem włożył mnie w trumnę, a dawszy cukier z trzeźwiącym sokiem w usta, obaj zabili wieko tak, iż mogłem dość dobrze oddychać. Po chwili zaczęto się do pokoju schodzić i ubolewać, słyszałem jeszcze głosy Moskali, lecz byli oni naumyślnie tak przez gospodarza spojeni, że ledwo chodzić mogli, co ułatwiło moje ocalenie. Nareszcie uczułem, że biorą mnie w powietrze i niosą na karawan. Ruszył pogrzeb mój, raz po raz dał się słyszeć szczęk moskiewskiej broni, lub nawoływanie kozaków. Już uczułem, iż jestem na cmentarzu, że spuszczają mnie do grobu, potem rozległ się łoskot piasku rzuconego przez księdza na wieko trumny... jeszcze kilka grupek spadło jako ostatnia przysługa, którą mi orszak pogrzebowy oddał. To wszystko tak mnie osłabiło, że omdlałem niedługo i dopiero w nocy przyszedłem do siebie... Nie byłem już w trumnie, lecz leżałem wygodnie na wozie i jechaliśmy borem. Obok mnie siedział gospodarz, szlachetny mój wybawca i nacierał mi czoło, dając wachać jakiś płyn trzeźwiący...

„Sam sobie nie dowierzałem, czym ocalony rze-

czywiście, lub też jestem tylko igraszką snu zwo-
dniczego. Dziś jeszcze, przypomniawszy sobie te
chwile, doznaję tego samego wrażenia. Chciałem
coś przemówić, lecz mi nie pozwolono, abym się nie
osłabiał. Zasnąłem upojony leśnem aromatycznym
powietrzem.

„Obudziwszy się, ujrzałem się w pokoju na łóżku,
gdzie pilnowała mnie jakaś nieznajoma staruszka.
W kilka dni mogłem już rozmawiać, dowiedziałem
się, iż jestem nie bardzo daleko od szlachetnych mych
oswobodzicieli, bo rany moje nie pozwalały mnie za-
raz wywieść za granicę.

„Po upływie kilkunastu tygodni mogłem już
wstawać i wtenczas podwieziono mnie do boru, w któ-
rym była owa bitwa, zkąd wieczorem puściliśmy się
rozstawnemi końmi wraz z moim wybawcą ku gra-
nicy, a w kilka dni byłem już w Dreźnie.

„Tymczasem w boru napotkał mnie ów prze-
wodnik gajowy, lecz ujrzawszy, przeżegnał się i zaczął
uciekać, jak wtenczas przed potyczką, lotem zająca
do wsi, biorąc mnie za ducha; jako też dał zaraz na
mszę za mą duszę...”

— No! czy rozumiesz teraz całą sprawę, ko-
chanku? — uśmiechając się, dodał pułkownik. — Czy
jeszcze bierzesz mnie za upiora lub za ducha poku-
tującego?

— To co innego pułkownika, lecz prawda puł-
kownik zginął... — i adjutant zaczął się śmiać ser-
decznie. — Nie tak łatwo uwierzyłby kto w tamtych
stronach, że żyjesz, a najmniej Moskale. Ile oni chre-
stów i pochwał dostali za twoje zabicie!...

— Wierzę, bo ja sam długo uważałem to całe zajście za sen gorączkowy i czekałem rychło mnie po obudzeniu rozstrzelają Moskale.

— Teraz — nalewając kieliszki pełne wina, rzekł pułkownik — wypijmy zdrowie mych wybawców!

— I zdrowie poległego pułkownika, życząc, aby zmartwychwstałemu zawsze tak się udawało śmierć oszukiwać — dodał wesoło adjutant, ściskając się serdecznie z pułkownikiem.

— Wiesz co — zakończył tenże — widać, że Pan Bóg nas będzie jeszcze potrzebował i zachował na przyszłość.

— Dożyjemy może jeszcze lepszych czasów!

